

Biuletyn Serafickiego Dzieła Pielgrzymi Misjom Nr 1(13)/2010

ISSN 2081-0075



MISJE KAPŁAŃSKIE



Gabon - Gwatemala - Salvador - Turcja - Białoruś - Łotwa - Szwecja - Wielka Brytania

www.misje.kaucyni.eu

Spis treści

...	3
Br. Piotr Wrotniak	
Przyjazd do Gabonu	4
Br. Jerzy Siedlecki	
Przy akompaniamencie bębnow...	10
Wywiad z br. Łukaszem Woźniakiem	
Rodzina w Papui Nowej Gwinei	16
Br. Janusz Kaźmierczak	
List br. Bartka Poznańskiego	21
Fr. Bartek	
Projekty Misyjne 2010	23
News	25
Serafickie Dzieło Pomocy Misjom	27

Jezus zwyciężył. Pokonał śmierć i szatana, który twierdzi, że jest panem tego świata. Przez krzyż i mękę dał nam najwyższy dowód swojej miłości i życzliwości dla człowieka. To zwycięstwo może stać się moim udziałem zupełnie za darmo, jeśli tylko uwierzę i zechcę Go przyjąć. Dobrej Nowiny o tym zwycięstwie nie mogę pozostawić tylko dla siebie, muszę się nim z innymi dzielić. To jest istotą misji. Dzielić się tym z innymi, z ludźmi pogrążonymi w strachu, niepewności jutra, z tymi, którzy nie znają jedynego Zbawiciela i Pana tego świata. W tej misji możemy i powinniśmy wszyscy uczestniczyć, zarówno w codzienności wśród najbliższych i w naszych środowiskach, jak również w tych bardziej egzotycznych misjach aż po krańce ziemi poprzez wysyłanych przez Kościół misjonarzy.

W nowym numerze „Misji Kapucyńskich” znajdziecie Państwo świadectwa braci kapucynów z różnych części świata. W poszczególnych artykułach można odkrywać, jak bardzo odmienne od naszej są kultury innych ludzi, a jednocześnie, jak wielkie jest pragnienie wspólne wszystkim ludziom – pragnienie szczęścia, miłości i zbawienia.

Wraz z braćmi misjonarzami chcemy przekazać Państwu najserdeczniejsze życzenia na święta paschalne. Aby Jezus Zmartwychwstały przemieniał wszelki smutek w radość, aby dawał siłę do walki ze złem i zwyciężał w codziennych wyborach. Radosnych Świąt!

Dr. Piotr Wrotniak

sekretarz misyjny



Przyjazd do Gabonu

W tym roku przypada 10 rocznica przyjazdu do Gabonu pierwszych braci: Jarosława Antoniaka i Jerzego Siedleckiego. Poniżej prezentujemy zapiski z pierwszych chwil pobytu w nowej misji autorstwa br. Jerzego.

W roku jubileuszowym 2 sierpnia w Uroczystość Matki Bożej Anielskiej przybyliśmy na zaproszenie arcybiskupa BASILE MVE ENGONE, by utworzyć pierwszą placówkę kapucyńską na ziemi gabońskiej. Okazało się, że jesteśmy pierwszymi misjonarzami z Polski i jednocześnie pierwszymi franciszkanami, którzy pracują w tym kraju. Po wyjściu z samolotu odczułem dziwny zapach bardzo wilgotnego i ciężkiego powietrza, choć wiedziałem, że będę pracował w klimacie tropiku wilgotnego to zawsze towarzyszy mi to dziwne przeżycie jakbym wchodził do sauny, w której będę żył i pracował. Obecnie widząc przyzwyczaiłem się do tego klimatu, bowiem już nie odczuwam go tak intensywnie jak

w pierwszych dniach swego pobytu w Gabonie.

Z lotniska w Libreville odebrał nas osobiście abp BASILE MVE ENGONE, zabrakł nas do swojej rezydencji na śniadanie a po śniadaniu przekazał nam dwa pokoje klimatyzowane byśmy odpoczęli po nocnej podróży.

Mieliśmy kłopoty z bagażem - nie mogliśmy go odebrać z lotniska, ponieważ nie było kierownika, który podpisałby odebranie bagażu. Musieliśmy poczekać dzień czasu, by wreszcie bagaże odebrać, a po miesiącu przyszła faktura na adres arcybiskupa, by zapłacić dość wysokie cło za książki i bieliznę osobistą, którą wwieźliśmy do Gabonu. Musieliśmy więc zapłacić.

3 sierpnia 2000 roku po południu przyjechał do biskupa o. Nazer spirytanin wraz z papą Pierre, by nas zabrać do Essassa. Papa Pierre jest najstarszym katechistą, odznaczonym przez papieża za działalność dla kościoła i osobą najbardziej poważaną

w parafii. Arcybiskup wystąpił nas do parafii Essassa, byśmy tam pracowali w miejsce zastępstwa dla ewangelizacji Gabonu misjonarzy: Ojców Spirytynów, którzy w ostatnim czasie przekazali tę placówkę diecezji.

Pożegnawszy arcybiskupa wspólnie udaliśmy się do Essassa. Powitali nas przy kościele parafialnym katechisci i odpowiedzialni za prowadzenie chórów. Po powitaniu udaliśmy się do sióstr klarysek. Siostry przygotowały dla nas pokoje, ponieważ nasz dom nie jest jeszcze gotowy do zamieszkania. 5 sierpnia 2000 roku wprowadziliśmy się do 'naszego domu'. Mieszkamy na razie we trzech z o. Nazarem, który przez ostatnie dni nas nie opuszcza i przekazuje nam jak najwięcej rzeczy duszpasterskich, kulturowych i rodzimych byśmy mogli jak najlepiej się akomodować.

Do 9 sierpnia obiady jemy u sióstr, śniadania i kolację przygotowujemy sobie sami. Od 10 sierpnia przygotowujemy wszystkie posiłki w swoim domu. 7 sierpnia z rekomendacji sióstr klarysek zatrudniliśmy 21 - letniego chłopca do pomocy w domu i pilnowania mieszkania podczas naszej nieobecności.

Ojciec Nazer wraz z panem Frederic Meyo-Bibang, który jest przewodniczącym Rady Parafialnej w Essassa oprowadzając nas po wszystkich urządach kościelnych i świeckich. Poznajemy pana ministra, który mieszka w Bikele, prefekta, mera, szefów policji, dziekanów, wikariusza biskupiego, naszego sąsiada proboszcza w Ntoun o. Muma. 10 sierpnia 2000 roku w NkolTang o. Nazer z księdzem Noel zorganizował sesję naukową dla parafian pod tytułem „Ryty inicjacyjne a Kościół katolicki”. Dowiedzieliśmy się trochę na temat Bwiti i rodzimego pogaństwa.

Pierwsze dni naszego pobytu w Essassa to także wdzięczność dla Matki Opatki i



siostr Klarysek, które z wielką otwartością nas przyjęły i w czym tylko mogły, nam pomagały i nas wspierały.

Tak jest aż do 13 sierpnia 2000 roku. Jest to niedziela. Mszę św. w parafii odprawia abp BASILE MVE ENGONE wraz z biskupem pomocniczym Mathieu, o. Nazerem, o. Jarostawem i mną. W czasie Mszy św. arcybiskup ogłosił o. Jarostawa proboszczem parafii w Essassa. Po skończonej Eucharystii udaliśmy się na wspólny posiłek do domu jednego z naszych parafian. Wieczorem o. Nazer opuścił nas definitywnie, zostaliśmy sami. Po dwóch tygodniach spotkaliśmy jeszcze o. Nazera, zjedliśmy wspólnie obiad, podziękowaliśmy mu za wszelkie dobro, które dla nas uczynił i pożegnaliśmy się. Ojciec Nazer wyjechał bowiem do jednego z krajów afrykańskich, by tam pracować na nowej placówce.

Po jedenastu dniach pobytu w Gabonie zostaliśmy sami. Musimy sobie radzić ze wszystkim, nikt nam od tej chwili nie pomaga. Może to wydawać się dziwne, ale

naprawdę jest możliwe by w obcym kraju w obcej kulturze po 11 dniach stać się samodzielnym. Bez taski Bożej byłoby to nie możliwe lecz z taską Bożą wszystko jest możliwe.

Jesteśmy jak na razie bardzo wymagający od siebie i nieco mniej od naszych najbliższych współpracowników. Przypatrywaliśmy się pracy Jeana – naszego pomocnika i niestety 15 sierpnia podziękowaliśmy my za współpracę, ponieważ jak mówi o. Jarostaw jest to prawdziwy Gabończyk: dużo je i śpi a mało pracuje. Zatrudniliśmy 10 sierpnia mamę Genie, przyszła gotować właściwie 15 sierpnia 2000 roku. Jest to starsza kobieta emerytowana nauczycielka. Była u nas niecały miesiąc. Tak naprawdę to może ugotowała nam obiad z siedem razy, dom sprzątała częściej, lubiła jeździć z o. Jarostawem na zakupy. Gdy o. Jarostaw jechał do Libreville, czekała już przed samochodem, a gotowałam ja, bo przecież trzeba było coś zjeść. Jest to kobieta bardzo ciekawska, o wszystko wypytuje i wszystko chce wie-

dzieć, co robimy, co myślimy, jak żyjemy? Ostatnie dni z jej obecnością były bardzo męczące. Musieliśmy jej podziękować za współpracę. Postanowiliśmy z o. Jarostawem już nikogo nie zatrudniać do pomocy w naszym domu. Więcej mamy, bowiem kłopotów niż pożytku. Ostatnio Matka Opatka i abp BASILE radzą nam byśmy zatrudnili nocnego stróża. Nikt nie myśli jednak gdzie on będzie spał i mieszkał i kto mu będzie płacił. Zauważam, że wszyscy: siostry, arcybiskup, parafianie, wszyscy Gabończycy uważają nas za bogaczy. Biali misjonarze, którzy otwierają dziś misje w Gabonie to tylko bogaci ludzie. Później widzą kaptana a na końcu zakonnika.

Pan Bóg uczy nas bardzo szybko wszystkiego, kultury murzyńskiej, codziennego życia Kościoła gabońskiego, działalności pogaństwa, ukazuje nam morale ludzi świeckich i duchownych, cele i aspiracje tubylców, mentalność i codzienne życie prostego ludu, korupcję i powiązania klanowe. Dzięki łasce Bożej w bardzo krótkim czasie poznaliśmy bardzo wiele, nawet życie siostr klarysek, które jest hermetycznie zamknięte przed światem zewnętrznym.

Nasz domek

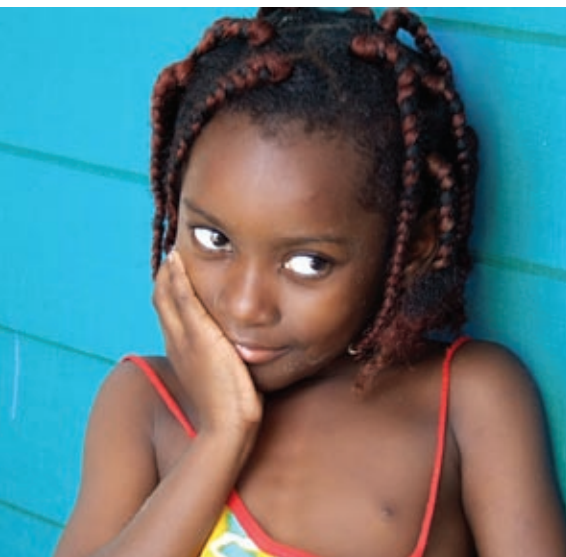
Mieszkamy w wypożyczonym domu. Arcybiskup ten dom przekazał nam do czasu wybudowania plebani w pobliżu kościoła w Essassa. Jest to dosyć ładny parterowy domek, budowany z pustaków, co należy do rzadkości. Ma salon, cztery pokoje, kuchnię, trzy łazienki, oraz taras. W jednym pokoju mieszkam ja, w drugim o. Jarostaw, w trzecim mamy kaplicę zakonną a czwarty, który przylega do pokoju o. Jarostawa, przeznaczony jest na biuro parafialne. Problem jest w tym, że ten dom właściciel budował, by założyć w nim klimatyzację, jednak tego nie uczynił. Brakuje w nim cyrkulacji powietrza,

wewnątrz jest bardzo gorąco. Ojciec Jarostaw kupił wentylatory, bez których trudno byłoby normalnie w tym domu mieszkać. Siostry klaryski przez ostatnie dni nasz dom przysposabiały do normalnego użytkowania. Sprzątały, zmywały, ofiarowały nawet część własnych mebli by ten dom zagospodarować. Jesteśmy siostrą za to bardzo wdzięczni.

Nasze meble są różne, część ofiarował arcybiskup, część siostry klaryski. Mamy automatyczną pralkę, jest stara i pordzewiała, ale jeszcze działa i ma się dobrze, trochę przecieka w czasie prania, ale jesteśmy z niej zadowoleni. Mamy lodówkę jest tak stara, że się nie domyka, ale działa. Gumą z dętki przywiązujemy drzwi i są w miarę szczelne. Lodówka, więc jest extra. Mamy telewizor, działał kilka tygodni, ale ze starości się zepsuł, stoi jako atrapa w salonie, nie wiadomo na razie, co z nim zrobimy. Telewizji nie oglądamy, więc spokojnie sobie stoi i czeka albo na wyrzucenie albo na naprawę. Nie działa kineskop i inne części, nie wiadomo czy się go optaci reperować. Mamy biurka, krzesła, fotele, półki na książki, małe szafki, stół, ławę, garnki - jeden z dziurą, ale to nie przeszkadza w gotowaniu, może trochę; wszystko więc, co jest nam potrzebne do egzystowania, to mamy. Nie trzeba na razie nic więcej. Jesteśmy z tego wszystkiego zadowoleni.

Dom ma kanalizację, jest zelektryfikowany, mamy w domu wodę. Mamy bolier, który grzeje nam wodę, ale cieknie. Załat nam kilka razy mieszkanie, więc go wyłaczyliśmy. Zmartwieniem o. Jarostawa jest brak ciepłej wody, trzeba będzie znaleźć hydraulika, który to naprawi, a z tym tu jest wielki problem.

Podczas dnia jest bardzo spokojnie i cicho, lecz w nocy sytuacja się zmienia diametralnie. Każdej środy, piątku i soboty jest or-



ganizowana dyskoteka w „nocnym klubie”, który znajduje się 30 m. od nas. Wszelkiego rodzaju działania, mające na celu ucieszenie tej muzyki są bezcelowe – prawo istnieje jedynie na papierze. Najgorsze z tego wszystkiego jest to, że muzyka trwa, aż do 6.30 rano, jest bardzo głośna i napastliwa. Gdy idę spać wkładam korki w uszy i zasypiam. O. Jarostaw nie może spać po kilku nocach z rzędu nie przespanych jest załamany psychicznie. Mówi, że już dłużej nie wytrzyma. Jest to przykra prawda, cały dzień zajęcia w parafii, noce nie przespane, trudno na dłuższą metę tak żyć. Na szczęście siostry udostępniły pokój o. Jarostawowi na noc, w których są dyskoteki, dzięki temu wreszcie może zasnąć. Po kilku tygodniach abp BASILE MVE ENGONE rozmawiał z ministrem a ten z właścicielem dyskoteki i teraz muzyka jest nieco ściszona. Śpię więc bez korków w uszach.

16 sierpnia 2000 roku. W jednym z pokojów zrobiliśmy wspólnie z o. Jarostawem chór zakonny. Jest przytulny i skromny. Mamy krzyż z relikwiami świętych Kapucy-

nów i nie tylko, Tabernakulum z Najświętszym Sakramentem, figurkę Matki Bożej, wizerunek św. Teresy od Dzieciątka Jezus z jej relikwiami, ołtarz, maty na podłogę i siedzenia afrykańskie. Ustaliliśmy porządek dnia i pilnujemy modlitw wspólnych tak jak w naszych klasztorach w Polsce.

Codzienne zajęcia domowe

Nasze początki były dosyć trudne z tego względu, że zostaliśmy zmuszeni do samodzielnego radzenia sobie w warunkach afrykańskich, których tak naprawdę nie znaliśmy. Poznawanie sklepów, gdzie można taniej kupić produkty żywnościowe. Uczenie się negocjowania cen. Od białych biorą przynajmniej o 100% drożej. Opłacanie wody, elektryczności. Organizowanie życia parafialnego, duszpasterskiego, współpraca z siostrami klaryskami. A przede wszystkim budowanie wspólnoty kapucyńskiej we dwóch, organizowanie wspólnych modlitw, każdego dnia. To wszystko wymagało dużego poświęcenia i samozaparcia.

Od usamodzielnienia się sami gotujemy

i zajmujemy się domem. Podzieliliśmy się obowiązkami domowymi. Ja gotuję i sprzątam kuchnię, o. Jarostaw pierze, prasuje, sprząta i zajmuje się naszym przydomowym ogródkiem, który właśnie założył. Posiał tam sałatę, marchew, pietruszkę, rzodkiewkę itp. Godzina pracy w tym ogródku jest tożsama z godzinnym przesiadywaniem w najbardziej wydajnej saunie szwedzkiej. Po kilku tygodniach o. Jarostaw dał spokój z domowym ogródkiem. Praca pochłaniała wiele energii a efektów nie było żadnych. Sałata i rzodkiewka wyrosła cienka jak trawa, sałata bez liści a rzodkiewka bez korzenia. Marchewka i pietruszka zaczęła rosnąć a później już nie rosta, nie wiem nawet, z jakiego powodu. To zniechęciło o. Jarostawa do uprawiania ogródka. Posadziliśmy wokół domu dużo cytroneli i papajów, kilka drzew avocado. Cytronela to trawa tak jak u nas żubrówka, jednak tu cytronela ma smak cytryny. Świeżo zaparzona jest bardzo dobra do picia i oczywiście ma dużo właściwości zdrowotnych, między innymi działa przeciw malarii. Papaje to owoce afrykań-

skie podobne są trochę do melona. Rosną na małych drzewach i mają inny smak niż melony. Cytronela rośnie pięknie, papaje nie chcą rosnąć a avocado czeka aż przesadzimy je koło kościoła parafialnego. Na tarasie mamy sporo kwiatów. O. Jarostaw wszedł we współpracę z siostrą Danielą i sadi w dojniczkach różne kwiaty, które mu daje siostra Daniela. Obecnie taras wygląda dość ładnie.

Jak na razie czujemy się bardzo dobrze i nic nam nie dolega. Jemy bardzo dużo owoców tropikalnych (ananas, papaje, banany, oraz wiele innych owoców). Jarek nauczył się robić samodzielnie jogurt naturalny z mleka w proszku, ponieważ w Gabonie nie produkują mleka. Mleko w płynie jest sprowadzane z Francji, dlatego jest tak bardzo drogie. Coraz mocniej stoimy na nogach i j. francuski nie jest już taki straszny. Pamięamy słowa O. Generata, abyśmy tak samo żyli w Gabonie jak w Polsce.

br. Jerzy Siedlecki
sierpień 2000 r.

PRZY AKOMPANIAMENCIE BĘBNÓW, GRZECHOTEK I BALAFONÓW

Br. Łukasz Woźniak – obecnie rektor Seminarium Braci Mniejszych Kapucynów na Poczekajce – przez trzy lata (2006 – 2009) pracował na misjach w Gabonie. O swojej pracy, o trudnościach i radościach misji, o zafascynowaniu Afryką, wreszcie o Bożym Narodzeniu na Czarnym Łądzie opowiada w rozmowie z Małgorzatą Grzenią.

Skąd pomysł wyjazdu na misje?

Od dawna interesowałem się misjami. To było pragnienie, które powoli we mnie dojrzewało... Już jako kleryk działałem w Kole Misyjnym w seminarium, a potem po święceniach prowincjał mianował mnie sekretarzem misyjnym, czyli kimś, kto troszczy się o misje, ale z Polski. W trakcie tej pracy byłem dwa razy w Gabonie, aby odwiedzić naszych braci. I to sprawiło, że kiedy tylko nadarzyła się okazja, złożyłem podanie, aby też pojechać na misje. Pracowałem w Gabonie trzy lata: najdłużej w Essassa – tutaj byłem proboszczem; ale też jakiś czas w Cocobeach i w Ntoun, czyli właściwie wszędzie, gdzie pracują polscy kapucyni.

Proszę powiedzieć coś więcej o Gabonie.

Gabon to kraj położony w środkowej Afryce, na równiku, nad oceanem Atlantyckim, graniczy z Gwineą Równikową, Kamerunem (na północy) i Kongiem (na wschodzie i południu). Wcześniej był kolonią francuską, a od 1960 r. jest niezależnym państwem. 80% kraju stanowi dżungla. Obficie wystę-



pujące tu bogactwa naturalne (ropa, gaz, uran, diamenty, złoto, drewno) sprawiły, że Gabon stał się ośrodkiem zagranicznych inwestycji, a przez to jednym z najbogatszych krajów regionu (choć oczywiście zyski z eksploatacji bogactw trafiają do wąskiej grupy osób).

Jak rozległy jest teren misyjny, na którym pracują polscy kapucyni?

W Afryce nie podaje się odległości w kilometrach, ale ile czasu potrzeba, aby dostać się gdzieś samochodem. A więc na mojej parafii w Essassa z jednego końca do drugiego

to była godzina jazdy – czyli nie tak daleko. Moja parafia obejmowała siedem wiosek położonych obok siebie w okolicy głównej drogi (jest tam tylko jedna droga asfaltowa). Jedna z wiosek była prawie niedostępna: można było dojechać do niej samochodem terenowym tylko w porze suchej. Bracia, którzy pracują w Ntoun, mają do obsługi 10 małych kaplic dojazdowych w okolicznych wioskach. Natomiast bracia w Cocobeach, oprócz wiosek przy drodze, mają również osady nad brzegiem oceanu. Tam są takie wioski, gdzie dociera się todzią tylko dwa

razy do roku. Kapucyni w Gabonie mają pewną strefę duszpasterską, parafie są ze sobą złączone. Dlatego też współpracują ze sobą, wymieniają się, głoszą rekolekcje, prowadzą spotkania dla katechistów. Można więc powiedzieć, że wszyscy pracują w jednej wielkiej strefie. Pierwsi bracia kapucyni przybyli do Gabonu w sierpniu 2000 r. Obecnie jest ich tam dziewięciu, pracują w czterech parafiach w diecezji Libreville. Są też trzy siostry serafitki i dwie józefitki.

Na czym polegała praca Ojca jako misjonarza?

Byłem proboszczem wiejskiej parafii, do mnie więc należała organizacja wspólnoty, regularne odwiedzanie wiernych w wioskach. Oprócz tego pomagałem we wspólnotach neokatechumenalnych (są to pierwsze wspólnoty w kraju, które zostały zaproszone przez kapucynów). Obok był klasztor klauzurowy sióstr klarysek – tam odprawiałem Eucharystię, prowadziłem dni skupienia, rekolekcje, spowiedź. Warto zauważyć, że między nami – misjonarzami a miejscową ludnością istnieje dystans kulturowy, różnica mentalności, przez co trudno jest dotrzeć bezpośrednio do człowieka. Dlatego też misjonarz pracuje przede wszystkim z katechistami, a oni organizują życie religijne w wioskach.

Kim są katechiści?

To pomocnicy kapłana, mieszkający na miejscu, w wiosce. Czasem to prości ludzie,

którzy nie zdobyli wielkiego wykształcenia, ale są katechistami od lat, dzięki czemu mają ważną pozycję społeczną. Misjonarze ze Zgromadzenia Ducha Świętego, którzy pracowali w Gabonie przed kapucynami, wybrali wielu katechistów, którzy pracują do dziś. Jeśli potrzeba nowych pomocników, ogłasza się to w parafiach. Ludzie, którzy się zgłaszają, przechodzą najpierw rozmowę z proboszczem, a następnie kształcą się w 6-letniej szkole dla katechistów w stolicy kraju, Libreville (dojeżdża się tam raz na miesiąc). Katechista organizuje życie religijne w wiosce: prowadzi katechezy dla dzieci i młodzieży, załatwia wszelkie sprawy związane z pogrzebem, czy sakramentem chrztu, przygotowuje do sakramentów, prowadzi indywidualne katechezy dla dorosłych, których przygotowuje do chrztu.

Czy ludzie w Gabonie są religijni?

Tak, ludzie tam są bardzo religijni, ten temat ogromnie ich interesuje, wszyscy o religii rozmawiają. Tylko że ich religijność jest taka trochę pierwotna, oparta na różnych dziwnych zwyczajach, na jakichś lękach, na kontakcie z przodkami. Pod pojęciem religijności można tu rozumieć wszystko, także wiarę w leśne duchy, wampiry, syreny. Żniwo zbierają sekty. Popularnością cieszą się różni uzdrowiacze, interpretatorzy snów, wyrzucający demony czy inni szarlatani wykorzystujący magiczne myślenie prostych ludzi.

Bardzo ich interesuje sfera religijna, ale już mało są zainteresowani regularną pracą nad sobą. Chętnie i tłumnie zaangażują się w jednorazowe akcje, takie jak pielgrzymka czy odpust, ale żeby systematycznie uczęszczać do kościoła, zaangażować się w jakąś wspólnotę, regularnie uczestniczyć w katechezach – to jest bardzo trudne. W ogóle ludzie tam mają problem z relacjami, mało sobie ufają, są skłóceni z sąsiadami, dużo jest



zazdrości. Dlatego mają również problem z budowaniem relacji wspólnotowych.

W parafii, w której pracują kapucyni, znajduje się centrum bwiti. Jest to tradycyjna religia, lokalna, która prawdopodobnie przeszła do innych plemion od pigmejów. Jak w klasycznej religii afrykańskiej, ważny jest w niej kontakt z przodkami, zapewnienie sobie bezpieczeństwa przed nimi czy z nimi, walka z czarownikami, czyli z tymi, którzy używają magii do zła.

W tradycyjnych religiach afrykańskich Bóg jest Stworzycielem, który jednak nie interesuje się człowiekiem. Różne mity przedstawiają oddzielenie świata ziemskiego od niebieskiego (np. że pies przegryzł linę, która łączyła niebo z ziemią i te dwie rzeczywistości się rozdzieliły; albo że jakaś kobieta gotowała coś o nieprzyjemnym zapachu, na co Bóg zdenerwował się i odsunął się od ziemi). A zatem Bóg jest daleko; ci, którzy interesują się ludźmi, to są przodkowie.

W XIX w. podjęto pierwszą próbę ewangelizacji tych plemion. Niestety zaowocowała



to pomieszaniem religii. Powstał kult bwiti ale synkretyczny. Ilustracją tej sytuacji jest świątynka, gdzie znajduje się obraz Pana Jezusa, Matki Bożej, są naczynia liturgiczne, dzwonki, ale obok tego są tańce i pieśni tradycyjne, całkowicie pogańska interpretacja postaci biblijnych, jak św. Michał czy Jezus. Inicjacja polega na zjedzeniu ibogi – rośliny halucynogennej. Podczas tej inicjacji ma się wizje, które potem są opowiadane, interpretowane w ten sposób, aby pokazać, że człowiek gdzieś podróżował, spotkał przodków, rozmawiał z nimi. Religia bwiti jest niespójna, jeśli chodzi o logikę i swoją teologię, ale jest prezentowana jako jedyna prawdziwa religia dla Afrykańczyków, religia, którą sami stworzyli. Według nich chrześcijaństwo jest dla białych, a bwiti dla czarnych. Tak jak Jezus przyniósł Najświętszy Sakrament dla białych, tak też Jezus (a raczej św. Michał) przyniósł ibogę dla Afrykańczyków.

Jaka jest gabońska rodzina?

Mówi się, że w Afryce rodzina jest silna i że Afrykańczyk zdobywa swoją tożsamość

w rodzinie, że wszyscy sobie nawzajem pomagają itd. Jeśli chodzi o Gabon, to sytuacja tam jest zgoła inna. Rodzina stała się destrukcyjna. Jest bardzo dużo dzieci nieślubnych, które są wychowywane nie przez rodziców, ale przez jakąś ciotkę, albo przez samą matkę. Każde dziecko ma mnóstwo braci i siostr od innych ojców. Bywa i tak, że nie znają swoich ojców. Młodzi ludzie mówili mi, że raz w życiu rozmawiali ze swoim ojcem – i to tylko przez telefon. Kiedy mają podać nazwisko ojca, np. do jakichś dokumentów, to się głęboko zastanawiają, bo... nie wiedzą którego ojca...? Czy chodzi o ojca biologicznego, czy tego, który ich wychowuje, który im płaci za szkołę, czy wreszcie tego, który aktualnie mieszka z matką. Dzieci są zagubione, pozbawione swojej tożsamości. Dzisiejsza rodzina w Gabonie nie jest dobrym środowiskiem wychowania. Ale to jest specyfika Gabonu, bo misjonarze z innych krajów (Kamerun, Kongo) mówią, że u nich jest odwrotnie. Jaka jest tego przyczyna? Gabon miał zawsze duże kontakty

z Europą, szczególnie z Francją (z racji bogactw naturalnych), wielu Gabończyków studiowało i studiuje we Francji, w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych. Mają zatem kontakt z „cywilizacją”. A tak już jest, niestety, że jak się przejmie coś z cywilizacji, to najszybciej przenikają te najgorsze rzeczy.

Inny problem to ludzie chorzy. Znajdują się oni w opłakanym stanie. Rodzina nie zapewnia im należytej opieki (szczególnie dotyczy to chorych na AIDS). Dla chorego nie ma pieniędzy na leki, ani na szpital, ale – paradoksalnie – kiedy umrze, znajdują się pieniądze na wyprawienie wielkiego pogrzebu i kilkudniowe świętowanie żałoby.

Jak wygląda szkolnictwo w Gabonie?

W Gabonie istnieje obowiązek szkolny. Są szkoły podstawowe, gimnazja i licea (szkoły państwowe i prywatne) oraz przynajmniej dwa uniwersytety. Ale poziom nauczania jest dosyć niski. Egzamin gimnazjalny zdają czasem jedna - dwie osoby na całą szkołę, a maturę to już naprawdę nieliczni. Ale trzeba też przyznać, że jest to dopiero pierwsze albo drugie pokolenie tych, którzy się kształcą. Starzy misjonarze, którzy pracują w Gabonie od 40 lat, pamiętają jeszcze takie klasyczne wioski murzyńskie, jak z książek dla dzieci o Murzynku Bambo. A żeby się rozwijać, trzeba mieć dostęp do cywilizacji, trzeba mieć motywację, widzieć perspektywy. Dodatkowo tamtejszy klimat nie służy człowiekowi: cały rok jest dosyć ciepło, bardzo duża wilgotność, dżungla – w takich warunkach trudno jest się uczyć, trudno jest się skupić.

Czy Gabończycy cieszą się z polskich misjonarzy?

Różnie... Są tacy, którzy bardzo się cieszą, ale są i tacy, którzy cały czas powtarzają: „my czekamy na naszych kapłanów”, „chcemy księży Gabończyków, bo tylko oni nas rozumieją”, „ojciec jest biały, dlatego nas



nie rozumie”... Ale z drugiej strony słyszy się opinie, że to właśnie biali misjonarze są bardziej oddani ludziom, bo gdyby był tam miejscowy ksiądz, to nie mieszkałby z nimi, tylko jeździł gdzieś do rodziny (te związki rodzinne są jednak silne), a do nich przyjeżdżał tylko od czasu do czasu, aby odprawić Mszę św.

Jak obchodzi się święta Bożego Narodzenia w Gabonie?

Okres Bożego Narodzenia wypada w Gabonie podczas pory deszczowej, jest więc duża wilgotność i dość ciepło. Oczywiście o śnieżnej zimie można zapomnieć. Nie ma również świątecznej atmosfery tak ważnej w Polsce. Jest to czas wolny od pracy, wielu mieszkańców miast jeździ do swoich rodzin na wioskach, święta mają zatem charakter rodzinny. Dodatkowo dużą popularnością cieszy się Msza w nocy (Pasterka), bo Afrykańczycy bardzo lubią różnego rodzaju nocne czuwania i zabawy.

Jakie są symbole świąteczne?

Bardzo podobne do naszych, ponieważ świąteczne tradycje „przyjechały” do Gabonu razem z europejskimi misjonarzami, rodzi-



nami francuskich żołnierzy oraz z pracownikami z Libanu i innych państw. W kościołach buduje się niewielkie szopki, przystrojone liśćmi bananowca, często sztucznymi lub naturalnymi kwiatami i ozdobami choinkowymi. Figurki w szopce są takie, jakie akurat uda się zdobyć, mogą być czarno lub biało-skóre. W sanktuarium w Melen podczas Pasterki w szopce leży prawdziwe nowonarodzone dziecko, co wywołuje wiele emocji i zainteresowania. W wielu domach widziatem ubrane sztuczne choinki, a dla bogatych jest także możliwość zakupienia żywych drzewek sprowadzanych przez Libańczyków maronitów.

Czy jest zwyczaj obdarowywania się prezentami? Czy przychodzi św. Mikołaj?

Naturalnie! Prezenty muszą być. Francuskim zwyczajem przychodzi do dzieci Père Noël czyli dosłownie Bożonarodzeniowy Ojciec, a po naszymu św. Mikołaj. W sam dzień Bożego Narodzenia dzieci przynoszą do kościoła swoje prezenty, żeby pochwalić się przed wszystkimi i wywołać zazdrość u kolegów. Dodatkowo oznaką świętowania jest czapka wykonana z kolorowego papie-

ru oraz brokat na twarzy. Najpopularniejsze prezenty dla dzieci to klasyczne lalki i samochody; młodzież dostaje coś do ubrania a nawet telefony komórkowe.

A czy śpiewa się koledy?

Śpiewa się koledy w wersji francuskojęzycznej, ale również inne pieśni w lokalnych językach. Wykonuje się je zgodnie z duchem afrykańskim, przy akompaniamencie bębnow, grzechotek i bałafonów. Podczas liturgii wszyscy ubrani są bardzo odświętnie, dominuje kolor biały, który jest w tym czasie kolorem szat liturgicznych. Jest to także okres chrztów w parafiach. Z powodu licznych spotkań rodzinnych w sklepach zazwyczaj brakuje napojów, wiele firm nie pracuje nawet przez dwa tygodnie, bo pracownicy są na wyjazdach. Za to na drogach asfaltowych leży dużo potłuczonych butelek – to taki dezerwujący kierowców świąteczny zwyczaj.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

oprac. Małgorzata Grzenia
dla parafialnej gazety „Zwiastun”,
grudzień 2009, Lublin, Poczekajka



Lud Huli, wśród którego pracowałem aż do mego powrotu do Polski, zamieszkuje zachodnie krańce wyżyn Papui Nowej Gwinei, a dokładnie część Prowincji Southern Highlands. Pierwsza Msza św. została tam odprawiona dokładnie 10 września 1954 roku. Niewiele to. Zaledwie dziesięciolecie dzielą tamtejszych ludzi od pierwszego kontaktu z białym człowiekiem i z Dobrą Nowiną. Jesteśmy zatem w bardzo pierwotnych początkach głoszenia tam Ewangelii.

Lud ten, pozostając przez całe tysiąclecia w ścisłej izolacji od świata zewnętrznego, ukształtował swoje i dla Europejczyka bardzo niezwykłe praktyki i obyczaje. Ciekawe i dość znamienne są tam wzajemne relacje mężczyzn i kobiet. Można miesiącami i latami spotykać mężczyznę i nigdy nie poznać jego żony. Już prędzej pochwali się dziećmi, ale nie żoną. Może to brzmieć zaskakująco, ale tak tu jest. Kobieta jest osobą zupełnie drugoplanową w wymiarze

publicznym. Widać, że jeszcze nie zagościło tu chrześcijaństwo z jego kultem Matki Bożej, który w wiekach średnich wprowadził do kultury europejskiej szarmanckość i rycerskość wobec kobiety jako nowy wyznacznik jej statusu, gdzie kobietę z ukłonem zaprasza do tańca, całuje w rękę czy przepuszcza się przodem, co dawniej w całej starożytności było zasadniczą prerogatywą mężczyzny. Potem, w XIX i XX wieku przyszedł czas na zrównanie kobiet wobec prawa i realną dostępność do wielu pozycji i funkcji zarezerwowanych niegdyś dla mężczyzn. Paradoksalnie, także dzisiejszy walczący feminizm, który agresywnie odsądza od czci i wiary Kościół, stał się możliwy tylko dzięki tej uprzywilejowanej pozycji kobiety w chrześcijaństwie. Historycznie łatwo sprawdzić, iż zrodził się on, zaistniał i okrzepł tylko w kulturach osadzonych na wartościach chrześcijańskich. W innych kulturach, także dzisiaj w początkach XXI wieku, praktycznie nie istnieje i jest odrzucany przez same kobiety.

A jeśli gdzieś spotkamy jakieś jego śladowe obecności, to są one raczej bezpośrednią interpolacją z kultur euro-atlantycznych.

Spróbujemy zatem powiedzieć sobie, jak wygląda tutejsza społeczność w kwestiach wzajemnych relacji mężczyzny i kobiety, małżeństwa i rodziny. Wśród ludu Huli uderza jeden dość szczególny aspekt ich kultury w tym wymiarze. Otóż, światy mężczyzn i kobiet są tutaj rygorystycznie rozdzielone, a wzajemne relacje ściśle określone przez prawo zwyczajowe i to zarówno przed wejściem w związek małżeński, jak i potem. Tradycyjnie mężczyzna nigdy nie mieszka tu ze swoją żoną. Wszyscy mężczyźni i chłopcy mieszkają razem w 'domu mężczyzn'. Jest to jedna okazała budowla zdolna pomieścić wszystkich mężczyzn klanu. Natomiast cała reszta zabudowań, to są zasadniczo domy kobiet. Każda kobieta mieszka tam ze swymi dziećmi. Jeżeli mężczyzna ma kilka żon, to każda z nich będzie miała oddzielny dom dla siebie i własnych dzieci. Dziewczynki pozostają z matką aż do zamążpójścia, natomiast chłopcy mieszkają w domu matki aż do wieku około 5-6 lat. Potem już przenoszą się do 'domu mężczyzn' i tam pozostają na całe życie. Para małżeńska jeśli chce postarać się o dziecko, to udaje się w tym celu do znanego im tylko tajemnego miejsca w buszu, aby to uczynić.

Kobiety nie zabierają tu głosu publicznie. To jest domeną mężczyzn. Kobieta jednak ma bardzo mocną pozycję społeczną, ponieważ troszczy się o trzy podstawowe wartości, które stanowią niezbywalny element życia i przeżycia tutejszej społeczności, to jest: rodzi dzieci, hoduje świnie i uprawia słodkiego ziemniaka. Od niej więc zależy praktycznie przetrwanie klanu. Z tego też względu ma faktycznie duży wpływ na życie wioski. Innym aspektem wzmacniającym jej pozycję jest to, że mężczyzna musiał porządnie za-

inwestować w swe małżeństwo i jest ciągle zobowiązany wobec klanu żony. Kobieta nie jest i nie czuje się własnością mężczyzny. On złożył wprawdzie za nią bardzo cenne dary, ale nie jest to w ścisłym znaczeniu zaptata za żonę, jak to się przyjęło rozumieć na skutek angielskiego określenia: bride-price. Pojęcie to jest wynikiem całkiem niefortunnej interpretacji pierwszych odkrywców. Mylnie zrozumieli oni funkcjonowanie systemu wzajemnych darów, który w rzeczywistości polega raczej na przymierz dwóch klanów, a nie na transakcji handlowej. Zatem cały proces nie ma nic wspólnego z kupowaniem żony.

Kobieta Huli nadal zachowuje bardzo wyrazistą pozycję w tutejszej społeczności. Spełnia te same zadania i obowiązki, które wykonywała od tysiącleci. Zupełnie odwrotnie rzecz ma się z mężczyzną, który dzisiaj w dużym stopniu utracił podstawowe wyznaczniki swej tożsamości.

Warto może najpierw uświadomić sobie, że tradycyjna rola mężczyzny Huli sprowadzała się też do trzech zadań. Pierwszym była ciężka praca, drugim płodzenie dzieci, a trzecim zabijanie.

Dawniej konieczny był ogromny nakład pracy fizycznej w wiosce. Wystarczy wspomnieć tu karczowanie buszu czy budowanie domu. I niezbyt trudno sobie wyobrazić skalę tego wysiłku, kiedy pomyśleć o ścinaniu choćby jednego tylko drzewa, ale kamienną siekierą. Drugim wielkim zadaniem było płodzenie dzieci. Powinno się było mieć ich możliwie jak najwięcej, bo one stanowiły jeden z wyznaczników potęgi klanu. Dziewczęta wydawało się za męża, przez co napływały dary, a jednocześnie wzmacniało się osadzenie rodu w lokalnych aliansach. Natomiast jak największa liczba chłopców była konieczna, aby skutecznie walczyć z wrogami, którzy byli wszędzie wokół, a więc żeby

miął kto ginąć w tych potyczkach. Wojna stała się zasadniczo rzeczywistością permanentną, jeden z wyznaczników codzienności. Dlatego też wojowanie i zabijanie było tym trzecim zadaniem mężczyzny. Kobiety nigdy nie walczyły i także nie były zabijane. Jeśli czasem to zdarzyło się, to raczej przez przypadek, ale bardzo tego unikano. I to niekoniecznie z przyczyn etycznych-obyczajowych. W rozliczeniu bilansującym straty i krzywdy, za jedną zabita kobietę jej klan rodzinny miał obowiązek zabić trzech mężczyzn z wrogiego klanu i respektowano tę zasadę rygorystycznie. Zabijanie więc kobiet było i jest po prostu nieekonomiczne.

Pojawienie się Australijczyków 50 lat temu naruszyło te zręby tożsamości mężczyzny. Po pierwsze sprowokowali oni autentyczną rewolucję technologiczną poprzez wprowadzenie narzędzi stalowych. Wyrąbywanie drzewa stalową siekierą zdaje się być teraz dziecinną igraszką wobec nakładu pracy kiedyś, gdy używano narzędzia kamiennego. Po drugie uczynili też wiele, aby ograniczyć te niekończące się wojny plemienne. Między innymi, wprowadzili nieistniejącą tu dotąd rzeczywistość targu, tak oczywistą na całym świecie, aby ludzie mogli się spotykać i poznawać, a przez to stawiać się bardziej otwartymi na porozumienie. Po budowali też drogi, rzecz dawniej nieznaną, która sprzyja przemieszczaniu się, poznawaniu ludzi, a więc i ich rozumieniu. Zainicjowali także kulturowo-folklorystyczne widowiska, jak Goroka-Show, zachęcające do wzajemnego zaciekania i zaakceptowania odrębności.

W sumie więc ciężka praca stała się dużo łatwiejsza, przez co zajmuje też niepomrotnie mniej czasu. Poza tym, ile w końcu można budować domów czy karczować buszu? Ewentualnie też zmniejszyła się liczba konfliktów zbrojnych. Więcej problemów jest rozwią-



zywane przez negocjacje i rekompensaty, a więc mężczyźni nie giną w boju i jednocześnie mają dużo więcej czasu, który dawniej spędziliby w ogniu walki. No, a płodzenie dzieci, cóż, nie zajmuje to wiele czasu. Efektem więc końcowym jest daleko idące zagubienie mężczyzn w tej nowej rzeczywistości. Siedzą zatem całymi dniami przy drogach i grają w karty lub w kości, i to jest całe ich zajęcie. Czasem z frustracji albo z nudów zostają rozbójnikami, czego już namacalnie doświadczyłem. Trudno też ich tu zachęcać do szukania pracy, w znaczeniu bycia zatrudnionym, bo przecież w całej Papui Nowej Gwinei może trzy procent ludzi pracuje na jakimkolwiek etacie. Praktycznie w skali kraju nie ma żadnej zorganizowanej pracy płatnej. Rozwiązanie problemu tożsamości mężczyzny nie rokuje dobrze.

Spotkanie ze światem zachodnim spro-

o jakichkolwiek innych powołaniach chrześcijańskich, bardziej specyficznych i wymagających jak życie konsekrowane, traci nieco fikcją. Dzieje się tak, ponieważ wiara przyjęta tylko na zasadzie indywidualnego zamysłu jednostki, najczęściej nie jest wystarczająco silnym nośnikiem radykalizmu potrzebnego dla udźwignięcia zobowiązań konsekracji w skali długodystansowej. Dopiero wychowanie w dobrze uformowanej rodzinie chrześcijańskiej może dać na tyle głębokie uzasadnienia wiary, że te uzdolnią ludzi Huli do wybierania rad ewangelicznych nie dla pragmatycznej korzyści, lecz dla ich wewnętrznej wartości. Tylko takie uzasadnione wiarą wybory mogą zagwarantować praktykowanie ślubowanych rad w skali kilku dziesięcioleci życia ludzkiego.

Rzeczywiście, trzeba tu w trybie nagłym prowadzić do zaistnienia solidnej rodziny chrześcijańskiej. Jest nadzieja, że taka rodzina, dzięki osadzeniu jej wiary w realiach każdego dnia, będzie w stanie poprowadzić dzisiejsze pokolenie dzieci lub może wnuków do podjęcia życia wewnętrznego na poziomie błogostawieństw ewangelicznych. W krajach o długiej tradycji chrześcijańskiej, gdzie skala wartości ewangelicznych jest już od dawna wpisana w podstawowe normy życia społecznego poprzez kulturę, jest nieco inaczej. Tam, przy daleko wyższym poziomie cywilizacyjnym oraz dużo głębszej świadomości i autonomii jednostek, nawet z rodziny niepełnej czy dysfunkcyjnej mogą wyrastać ludzie autentycznie zwrócenici ku Bogu, realizujący wartościowe i w pełni kompletne powołania chrześcijańskie. Choć gwoźli prawdy trzeba też uznać, że nieregularna sytuacja wiary w rodzinie pochodzenia zawsze będzie niosła pewne ryzyko dodatkowych komplikacji. Tylko że wśród ludzi Huli, na obecnym etapie dojrzewania wiary nie tyle jest to kwestia możliwych kompli-

wkowało gwałtowne przemiany kulturowe w świecie ludu Huli. Zawirowanie i niepewność okresu przejściowego sprawiają, że prawdziwym wyzwaniem staje się tu ewangelizacja na poziomie rodziny.

Jak wiadomo, rodzina nie jest w Ewangelii jakimś absolutem (Mt 10, 34-36). Stanowi ona jednak autentyczną wartość, która powinna być chroniona i pielęgnowana (Mt 19, 6n; Mk 10, 9). Należy zatem skoncentrować się na zaszczepieniu tutaj chrześcijańskiego modelu rodziny, gdzie jeden mąż i jedna żona razem mieszkają, modlą się i pracują, i razem wychowują gromadkę swych sympatycznych dzieciaków na dobrych katolików. Małżeństwo i rodzina są naturalnym kontekstem życia ludzkiego, co sprawia, że wartości ewangeliczne łatwiej znajdują tam swe odniesienia do praktyki codzienności. Zatem bez ewangelizacji rodziny mówienie



kacji, ile raczej praktycznej niemożności opowiedzenia się za błogostawieństwami ewangelicznymi jako wartością upragnioną i poszukiwaną.

Ta diagnoza nie stanowi jakiegś prawdy wiary, ale kiedy uważnie przyjrzeć się wszystkiemu wokół wychodzi na to, że jest ona dosyć prawdopodobna. Ostatecznie zaś i tak wszystko jest w ręku Boga.

A jako że wiara rodzi się ze słuchania Słowa (Rz 10, 17), trzeba do tych ludzi po prostu mówić, mówić i jeszcze raz mówić w imię Boże.

br. Janusz Kaźmierczak

Poniżej zamieszczamy zwiastun książki autorstwa br. Janusza przygotowywanej przez wydawnictwo WAM.

OJCZYNA RAJSKIEGO PTAKA. ZAPISKI I REFLEKSJE Z PAPUI NOWEJ GWINEI

Brat Janusz Kaźmierczak z Zakonu Kapucynów, wróciwszy z misji w Papui Nowej Gwinei w 2006 roku, postanowił teraz zapisać nieco ze swych obserwacji i przemyśleń w formie książki, która wkrótce, bo już w kwietniu AD 2010, ukaże się nakładem Wydawnictwa WAM. Książka ta zatytułowana jest: Ojczyzna rajskiego ptaka. Zapiski

i refleksje z Papui Nowej Gwinei. Sam tytuł dobrze oddaje charakter publikacji. Nie jest to bowiem klasyczna literatura faktu w postaci zwykłego reportażu z pracy misjonarza. Autor, owszem, notuje dostrzegane fakty czy zaobserwowane sytuacje, czasem fascynująco odmienne wobec wszelkich skojarzeń człowieka Zachodu. Odwołuje się też do swych doświadczeń z napotykanymi ludźmi. Jednak w miarę rozwijania toku narracji, na podstawie swoich spostrzeżeń podejmuje próbę refleksji nad wiarą i kulturą tamtejszych ludów w spotkaniu z chrześcijaństwem, które zawitało do Doliny Tari zaledwie 55 lat temu.

Wydaje się, że bogactwo i niezwykłość owych światów ludzkich, które egzystują po dziś dzień na antypodach naszego globu, może zainteresować wielu czytelników. Otwarta formuła książki powinna sprzyjać lekturze zarówno ze strony kogoś, kto jest dojrzałym chrześcijaninem i katolikiem, jak również sprawić, że będzie ona czytelna dla ludzi relatywnie odległych od religii, ale zainteresowanych rzeczywistością wiary i kultury ludów Papui Nowej Gwinei. Trzeba bowiem przyznać, że znajomość tamtejszych realiów – czy to w osobistym doświadczeniu, czy też poprzez publikacje – jest w naszym kraju raczej śladowa. Nowa pozycja daje zatem szansę wyzbycia się stereotypowych skojarzeń typu: Papuas, kanibal i łowca głów, po to, by zobaczyć w nim po prostu człowieka z całym bogactwem jego życia rozgrywanego się w przepaścistej topografii wyżyn Papui Nowej Gwinei, gdzie mieszka rajski ptak.

Książka ma postać datowanych zapisków układających się w 12 rozdziałów odpowiadających 12 miesiącom roku, które zamykają pewien podstawowy cykl życia ludzkiego.

List br. Bartka Poznańskiego po miesiącu od przyjazdu do Turcji



Zbliżają się Święta Narodzenia Pańskiego – choć tu w Turcji niewiele jest znaków, które przypominałyby o tym Wydarzeniu. Nawet pogoda w niczym nie odpowiada tej, jaka zazwyczaj panuje w grudniowej Polsce. W zasadzie tylko dzięki tekstom liturgicznym dociera do świadomości, że już za kilka dni kolejny raz będziemy przeżywać Święta. Wraz z Nimi nadchodzi także moment, w którym upłynie pierwszy miesiąc od mojego przyjazdu do Kraju, który był miejscem wzrostu jednych z pierwszych wspólnot rodzącego się Kościoła. Cóż to jest miesiąc? To prawda, że jest zaledwie chwilą, wystarczającą jednak aby móc nazwać pierwsze odczucia zrodzone w ciągu tych kilkunastu dni. Choć nie o tym chcę pisać.

Przybyłem do Turcji 27 listopada, dniu w którym muzulmanie na całym świecie rozpoczynali świętowanie Kurban Bayrami, święta upamiętniającego ofiarę Abrahama i uratowanie jego syna Izmaela. Właśnie wtedy gdy cały muzulmański świat (także więc Turcy) zaczynał składanie ofiar z baranów, ja zaczynałem mój pobyt w Turcji.

Samolot wylądował na lotnisku w Izmirze skąd odebrał mnie br. Paweł Szymala. Przez pierwsze dni mieszkalem w Meriam Ana Evi gdzie oczekiwałem na postanowienia dotyczące naszego dalszego pobytu. Piszę naszego – ponieważ wraz ze mną przybył również współbrat z Włoch, Paulo Pugliese.

Tych kilka pierwszych dni oczekiwania wykorzystaliśmy na zatratwienie najpilniejszych formalności. Oczywiście nie tylko. Najważniejsze jednak było dla nas uczestnictwo w braterskim spotkaniu. Dzięki temu mogliśmy poznać niemalże kompletne grono braci Kapucynów pracujących w Turcji. Owa wspólnota braci, godzinne rozmowy, wspólne modlitwy, posiłki sprawiły, że w zasadzie czuliśmy się jak w domu. Tylko od czasu do czasu przenikający do domowego zacisza głos muezzina wszywającego do modlitwy, uświadamiał nam – nowo przybyłym – gdzie i na czyjej ziemi jesteśmy. W pewnym stopniu, ów głos stał się dla nas odpowiednikiem naszych dzwonów. W każdym razie skutecznie przypomina o Bogu

i porze naszych wspólnotowych modlitw. Po kilku dniach zamieszkaliliśmy w Izmirze. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym poprzednio przebywali Maciej z Pawłem. Z tą tylko różnicą, że mieszkamy bez żadnego miejscowego brata, a tylko z rodziną Turecką opiekującą się domem. Oczywiście zaczęliśmy już naukę języka – generalnie „trochę” inny od naszych europejskich. W sumie na początku nie rozumie się ani słowa (czego doświadczyliśmy i w dużym stopniu wciąż doświadczamy w domowej komunikacji). Niemniej stopniowo, dzień po dniu, zdobywamy nową porcję wiadomości. I choć wszystko póki co przychodzi z wielkim trudem, to wypowiedzenie kolejnego słowa w tutejszym języku rodzi nadzieję, że przecież można się go nauczyć. Zresztą najlepszym tego przykładem są choćby Maciej i Paweł. Nie będę opisywał miejsca, w którym mieści się tutejsza placówka – pisali o tym wcześniej Maciej z Pawłem. Nie-

mniej miejsce jest urokliwe i pozwalające z jednej strony doświadczyć klimatów typowo tureckich, a z drugiej możliwość łatwego dostania się do centrum, w którym jest całkiem „europejsko”, pozwala na tagodny proces aklimatyzacji. Co do planu dnia – jest czas na naukę ale przede wszystkim na modlitwę. I choć tworzymy zaledwie dwuosobową wspólnotę, to paradoksalnie dzięki temu możemy zawsze razem spotykać się w naszej małej kaplicy, gdzie bez pośpiechu sprawujemy zarówno liturgię godzin jak i Eucharystię. Tam także każdego dnia robimy wystawienie Najświętszego Sakramentu i na nowo odkrywamy wartość tych prostych chwil modlitwy.

Kończąc chcę zapewnić w słowach prostych, zwyczajnie, że pamiętam. Dzięki z całego serca za wszystką życzliwość, której doświadczyłem. Z Bogiem.

Fr. Bartek

Projekty misyjne 2010

Poniżej przedstawione są niektóre z realizowanych obecnie projektów przez naszych misjonarzy na terenach misyjnych oraz w służbie nowej ewangelizacji na Białorusi. Oto konkretne potrzeby, na które możecie odpowiedzieć przekazując ofiary za naszym pośrednictwem:

Budowa ośrodka zdrowia w Essassa (Gabon)

Od roku prowadzona jest zbiórka na rzecz konstrukcji i wyposażenia ośrodka zdrowia w Essassa, przy pierwszej misji Braci Kapucynów w Gabonie. Przy misji działa szkoła podstawowa i przedszkole, brakuje przychodni zdrowotnej, która mogłaby wyjść naprzeciw potrzebom mieszkańców. Rozpoczęcie realizacji projektu napotyka trudności w postaci planów budowy drogi krajowej przez teren misji, zmian personalnych oraz konieczności wyboru odpowiedniej pory na budowę (pora sucha). Odpowiedzialnym za realizację projektu jest obecnie br. Stawomir Ziątek

Budowa kaplicy w Ayeme Maritime (parafia Essassa, Gabon)

Wspólnota wierzących w Ayeme Maritime, jednej z wiosek w parafii Essassa spotyka się w bardzo prowizorycznej kaplicy sklejonej z kilku desek i gałęzi palm. Mieszkańcy tej wioski nie są w stanie wybudować nawet skromnego, odpowiedniego miejsca, gdzie mogliby się gromadzić na liturgię i katechezę. Dlatego istnieje potrzeba wsparcia tej budowy. Odpowiedzialny – br. Dariusz Jagodziński. Koszt budowy – około 15 000 euro.

Pomoc w zakupie podręczników szkolnych dla ubogich dzieci w Santa Ana (Salwador)

Bracia Kapucyni z Polski pracują od wielu lat na terenie ubogich przedmieść Santa Ana. Spotykają tam wiele dzieci i młodzieży, którzy nie mają możliwości rozpoczęcia lub kontynuacji nauki z powodu braku środków materialnych. W miarę możliwości spieszą im z pomocą. Odpowiedzialny – br. Franciszek Gaca

Wymiana samochodu w Santa Ana (Salwador)

Do obsługi duszpasterskiej rozległej parafii Santa Ana bracia potrzebują dwóch sprawnych samochodów terenowych. Obydwa, którymi się obecnie posługują wymagają wymiany z powodu ich wyeksploatowania. Odpowiedzialny – br. Franciszek Pietruch. Koszt zakupu samochodu – ok. 20 000 dolarów.

Budowa kościoła i klasztoru w Mołodecznie (Białoruś)

Mołodeczno jest 100-tysięcznym miastem, w którym istnieją jedynie dwie parafie i tylko jeden kościół. Budowa tamtejszego kościoła i klasztoru jest wielką inwestycją, którą udaje się realizować z pomocą Bożą i dobrych ludzi w miarę sprawnie. Już większość została wybudowana, wciąż jednak potrzeba wielkich środków materialnych, by budowę zakończyć i wyposażyć wnętrze. Zainteresowanych wspomnianym dziełem nowej ewangelizacji na Białorusi zachęcamy do przekazywania ofiar na ten konkretny cel. Odpowiedzialny – br. Ariusz Małyśka.

„MISJE TO SPRAWA MIŁOŚCI”

POMÓŻ POLSKIM MISJONARZOM

wyślij SMS o treści MISJE
na nr 72032 (koszt sms 2,44 zł. z VAT)

Dzięki operatorom sieci:



2 zł z każdego SMS wspiera misjonarzy



Dzieło Pomocy „Ad Gentes”

ul. Byszeńska 1, 03-729 Warszawa 4, skr. poczt. 112
tel. +48 22 743-95-24; fax +48 22 743-95-27; e-mail: adgentes@misje.pl; www.adgentes.misje.pl
Bank PEKAO SA. I O/Warszawa 66 1240 1037 1111 0010 1498 4506

Misje – powroty i wyjazdy

Po dwuletnim pobycie na ziemi austrijskiej do kraju powrócił br. Marcin Radomski, poprzedni sekretarz misyjny, który ponownie zajmie się promowaniem naszych misji. Zastąpi on br. Piotra Wrotniaka, który w najbliższym czasie udaje się na misje do Gabonu. W tym roku również wyjazd na do Gabonu planuje br. Stawomir Maria Siczek, który obecnie przebywa na kursie językowym we Francji.



Lublin - Dzień Walki z Trądem

Ostatnia niedziela stycznia obchodzona jest co roku jako Dzień Walki z Trądem. 31 stycznia i w kolejne niedziele w kościołach lubelskich przeprowadzona była zbiórka środków na pomoc polskim misjonarzom pracującym wśród trędowatych. Każdego roku w tę akcję włączają się bracia mniejsi kapucyni z seminarium w Lublinie. Trąd wciąż dotyka milionów ludzi w różnych

częściach świata, skazując ich nie tylko na cierpienie fizyczne, ale także na cierpienie psychiczne, spowodowane niemal automatyczną marginalizacją tych, którzy na nią zapadają. Choroba ta w dzisiejszych czasach jest już uleczalna, albo raczej istnieje możliwość jej zaleczenia w danym stadium choroby i nie musi być wyrokiem śmierci dla osoby chorej. W tym roku misyjne środowiska z Lublina organizowały pomoc dla ośrodka dla trędowatych prowadzonych przez polskie Siostry Opatrzności Bożej w Ayos w Kamerunie. Dzięki hojnym sercom ofiarodawców udało się zebrać na ten cel około 25 tysięcy złotych. Na zakończenie akcji odbyło się spotkanie w naszym amfiteatrze w lubelskim klasztorze na Poczekajce, w czasie którego można było usłyszeć świadectwa sióstr misjonek spotykających się z trędowatymi oraz pobawić się na koncercie zespołu 30 i 40 na 70.

Powrót z Białorusi

Kolejni polscy duchowni zostali zmuszeni do opuszczenia Białorusi. Tamtejsze władze nie przedłużyły trzem katolickim księżom z Polski pozwolenia na pracę duszpasterską w tym kraju. Jednym z nich jest pracujący

Prosimy o czytelne wypełnienie przekazu
DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPLACAJĄCEGO

Nr rachunku odbiorcy
03 1240 6292 1111 0000 5019 9015

Odbiorca:
Kapucyni, Prowincja Warszawska
Ul. Kapucyńska 4
00-245 Warszawa

Kwota
Wpłacający:

Tytułem:
MISJE KAPUCYŃSKIE



Oplata:

Nazwa odbiorcy
KAPUCYNI, PROWINCJA WARSZAWSKA

Nazwa odbiorcy cd
UL. KAPUCYŃSKA 4, 00-245 WARSZAWA

Ik. Nr rachunku odbiorcy
03124062921111000050199015

Wpłata
W P L N

Kwota
kwota słownie (wpłata) / nr rachunku zleceńodawcy (przelew)

Nazwa zleceńodawcy

Nazwa zleceńodawcy cd.

Kod pocztowy: **-** miejscowość

Tytułem
MISJE KAPUCYŃSKIE

Pieczęć, data i podpisy wpłacającego

Oplata:

Odcinek dla Banku

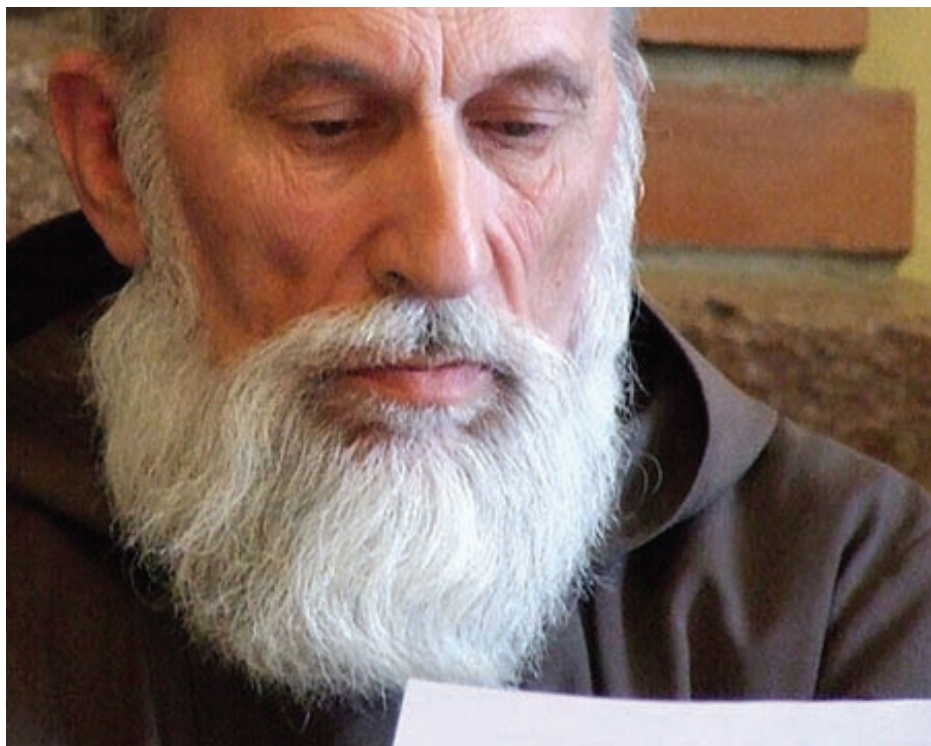


w Międzyrzeczu na wschodniej grodzieńszczyźnie kapucyn, nasz współbrat Jan Bońkowski. Przybywając 20 lat temu na Białoruś br. Jan był jednym z nielicznych kapucynów, opuszczając ten kraj zostawił dobrze rozwijającą się Wiceprowincję, do której należy wielu młodych miejscowych braci.

Nowa strona misji kapucyńskich

W ostatnim czasie udało się odnowić stronę internetową poświęconą misjom ka-

pucyńskim. Zmieniony został adres na nowy: www.misje.kapucyni.eu. Na stronie można obejrzeć zdjęcia z naszych misji, znaleźć informacje o krajach misyjnych, misjonarzach czy realizowanych przez nich projektach. Można również znaleźć odnośniki do misyjnych blogów oraz do filmu „Debarkadery” pokazującego wyprawę naszych braci łodzią do wioski w parafii w Cocobeach w Gabonie.



SERAFICKIE DZIEŁO POMOCY MISJOM

Serafickie Dzieło Pomocy Misjom skupia osoby, które pragną skutecznie przyczynić się do ewangelizacji narodów, ofiarowując na rzecz misji modlitwy, cierpienia, wyrzeczenia, działalność animacyjną i dary materialne. Założone w Szwajcarii w 1889 roku, w celu wspierania działalności misyjnej za granicą, prowadzonej przez Zakon Braci Mniejszych Kapucynów, istnieje dzisiaj w wielu krajach.

Misje, szczególnie te prowadzone wśród pogan i w bardzo młodych wspólnotach chrześcijańskich, są sprawą całego Kościoła powszechnego czyli każdego chrześcijanina. Słowa Pana Jezusa wypowiedziane po Zmartwychwstaniu do uczniów: „Idźcie na cały świat i głoście Ewangelię!” (Mk 16,15) stanowią testament Jezusa, który obowiązuje nas dopóki jest na świecie ktoś, kto nie miał możliwości usłyszeć Dobrą Nowinę.

Zakon Kapucynów, od początku swego istnienia, wysyłał braci misjonarzy na cały świat, by trwać w wierności wezwaniu Pana Jezusa i naśladować apostołską gorliwość swego Zatożyciela św. Franciszka z Asyżu. Dziś kapucyni obecni są na wszystkich kontynentach, w wielu krajach misyjnych i w wielu państwach gdzie Kościół na nowo się odradza i umacnia. Dzięki popieraniu powołań miejscowych jest coraz więcej braci kapucynów rodzimego pochodzenia, którzy głoszą Ewangelię swoim rodakom, a także sami stają się misjonarzami w innych krajach.

Serafickie Dzieło Pomocy Misjom jest wyrazem solidarności z kapucyńskimi misjonarzami i z ich trudem niesienia Jezusa na krańce świata. Dzieło to tworzy swoiste zaplecze modlitwy i ofiary, z którego czerpać mogą bracia misjonarze. Oni wszyscy są niezwykle wdzięczni za ten dar towarzyszenia i pomocy, odwiedzając się swoją modlitwą i modlitwą ludzi, wśród których pracują.

Warszawska Prowincja Braci Mniejszych Kapucynów w sposób szczególny poleca tym, którzy zechcieli włączyć się w Serafickie Dzieło, swoich współbraci pracujących w Gabonie (Afryka Rów-

nikowa) w Ameryce Środkowej i Turcji, a także braci prowadzących dzieło ewangelizacji na Białorusi, na Łotwie, w Szwecji, Wielkiej Brytanii i innych krajach.

Serafickiemu Dziełu Pomocy Misjom patronują: św. Franciszek z Asyżu, św. Antoni z Padwy i św. Fidelis z Sigmaringen – patron misji kapucyńskich. Świętem patronalnym jest Uroczystość Objawienia Pańskiego, czyli Trzech Króli.

Każdy kto wspiera misje kapucyńskie staje się, zarówno za życia jak i po śmierci, uczestnikiem specjalnych łask duchowych. Każdego dnia sprawowane są w kapucyńskich klasztorach Msze św. za Dobrodziejów, raz w miesiącu jest odprawiana Eucharystia za członków Serafickiego Dzieła, o swoich Przyjaciółtach pamiętają w codziennej modlitwie bracia misjonarze i ludzie powierzeni ich pasterskiej opiece.

Świat dziś potrzebuje Twojej pomocy – włącz się w naszą akcję dla czynienia lepszym tego świata poprzez ewangelizację narodów. W Serafickie Dzieło Pomocy Misjom możesz włączyć się przesyłając nam swój adres, lub składając ofiarę przekazem pocztowym, albo na konto.

SERAFICKIE DZIEŁO POMOCY MISJOM

Ul. Kapucyńska 4; 00-245 WARSZAWA

tel: +48600407349

kapucyni.misje@wp.pl; www.misje.kapucyni.eu

KONTO: Kapucyni, Prowincja Warszawska

Nr 03 1240 6292 1111 0000 5019 9015

Środki materialne gromadzone przez SDPM przeznaczone są na wsparcie działalności naszych braci misjonarzy, zakup potrzebnych dla nich biletów lotniczych, zapewnienia opieki zdrowotnej, zakup potrzebnych artykułów liturgicznych, dofinansowanie środków transportu dla misjonarzy, oraz realizowanie projektów szczegółowych. Obecnie realizowanych jest kilka takich projektów. Dokonując wpłaty na konto możesz zaznaczyć na jaki konkretny cel ma zostać przeznaczona ofiara umieszczając dopisek: MISJE KAPUCYŃSKIE, OŚRODEK MEDYCZNY W ESSASSA, czy inne.

Biuletyn Serafickiego Dzieła Pomocy Misjom Wydaje: Sekretariat Misyjny Warszawskiej
Prowincji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów,
ul. Kapucyńska 4, 00-245 Warszawa, Polska; red. br. Piotr Wrotniak OFMCap
tel. 600 407 349 e-mail: kapucyni.misje@wp.pl
www.misje.kapucyni.eu

